



Marszałek Piłsudski z małżonką swą Aleksandrą ze Szczerbińskich w swym zaciszu domowym Sulejówku pod Warszawą bawi się z ukochanymi córeczkami Wandą i Kalinką.
 Fot. am. używana „Nowościom” przez jednego z przyjaciół marszałka.

Jerzy Oginski

19-sty marca.

Bawiliśmy się spokojnie
 Jak małe, niewiedzące, nawpółsenne dzieci,
 Gdy ferment przeraźliwy zabulgotał w kotle Europy,
 Gdy pierwsze napomknienia o możliwej wojnie
 Prześliznęły się jak iskra elektryczna po drucie leci
 I ruszyły się z letargu straszliwie
 Rozpędowe koła wypadków,
 A ślepe sfinksy dziejów do pochodu podniosły stopy.
 Hop! — hop! Wstawajcie! — wici!
 Budził nas ktoś,
 Kołatał w drzwi i okna nieznajomy szary człowiek,
 A myśmy się zrywali ze snu jak wylęknione dziatki,
 Jak niewolnicy, którym starł bezwład z powiek
 Jakiś huk trąb daleki, zmartwychwstających marszów gromobicie
 I oto w nas skarlałych, nędznych, skulonych przy ziemi,
 Uderzył młot porywów i uniesień,
 Lawina zamierzchłych splendorów runęła w nas jak Anioł boży,
 Dreszcz święty targnął nami, jak cud olśnienia ślepymi
 I w szarą, bezbarwną, chwiejną żywotów naszych jesień
 Buchnęła wiosna dni nowych,
 Którym duch dziejów spiżowy
 Karty swej księgi słońce klamrą spiętej otworzył.
 A tam
 Na klawiaturze wszystkich części świata
 Grał ślepy muzyk szaleństwa, ścinające krew w żyłach fugi,
 Jakoweś grzmoty toczących się z trzaskiem brył,
 Jakieś eksplozje furji ruszających w galop narodów...

Okropne, stalowe maszyny armji, dywizji, korpusów,
 Biły w bębny, strzelały na wiat przechodząc Rubikony granic,
 Dyplomaci rzucali kości, straszliwe krwawe szach-maty
 I jak wytrawni oracze pchnęli wodzowie wojsk pługi
 Naładowane energią elementarnych sił.
 — Brawura teutońskiego pochodu,
 Lampartów w piketach opancerzone susy,
 Panika miast młóconych, smaganych bastonadą pocisków,
 Świder przełamań frontów, lament katastrofalnych odwrotów,
 Hausty krwi w przełykach Hindenburgów i Mackensenów,
 Rumowisko zwalonej Belgji, skąsanej krwiożerczym pyskiem,
 I gnicie w rowach strzeleckich przykucniętej nad Izerą piechoty.
 — Zachłyśnięci zalewem olbrzymich wydarzeń,
 Wepchnięci w wór mundurów wrażeń, cuchnących i wstrętnych,
 Zgrzani pośpiechem ofensyw, konrofensyw, ucieczek i bitew,
 Chowając w głowie pod hełmem płomień najświętszych marzeń
 Szliśmy, strzelali, stawali, jak nam kazali gdzieś z tyłu,
 Krajając sprawnie wroga jak ślepa, wyostrzona brzytew,
 — A w gardle szloch nas palił, krzyk, krzyk, ten krzyk namiętny:
 Za co, po co, dlaczego zakuci w kajdan przymusu
 Prujemy brzuchy braci i ojców strącamy w mogiły,
 My krew z krwi szwależerów, kość z kości czwartaków-wiarusów.
 I wtedy jedna nam była rehabilitacja i sława:
 — Komendant — lew legionów i ich epopeja krwawa.
 Widzieliśmy, że znowu z historii naszej kart
 Wstał młody duch bojowy, ten legionowy hart.
 Że jak błysk tego miecza, co w garści Chrobrych się miotał
 Nasz „sen o szpadzie” ożył, nasza legenda złota.
 Polska wydarła się znowu z pod przemocy zabitych ćwieków,
 Tarzała się w konwulsjach bezgranicznego bólu,
 Szkarłatem krwi buchającej z otwartych pulsów rzeką
 Zalała płaszczy poboju i trysła w oczy królów
 I w pośrodku Europy, jak wyrzut, jak hańba, jak zbrodnia
 Zapłonęła jej mściwa krzywda, okropna, żywa pochodnia.
 I nie mógł już jej przyćmić blask bombardowanych stolic,

Z życia Warszawy.

Podczas gdy Warszawa płażała do utraty przytomności przez całe długie tegoroczne zapusty i poczytywała to sobie jeszcze za zasługę, jako że tańczyła przeważnie „na dobry cel” i „dla otarcia niejednej łzy”, znalazły się w stolicy kobiety, które akcję filantropijną na rzecz biednych pojęły zgoła inaczej. Mam na myśli znany w całej Polsce komitet: „Chleb głodnym dzieciom”. Zasłużoną jego przewodniczącą jest, jak wiadomo, małżonka Prezydenta Rzeczypospolitej, p. Marja Wojciechowska, obok niej zaś działają w Zarządzie marszałkowa Ratajowa, prezesowa Balińska, posełka Irena Puzynianka, ministrowa Bartłowa i i.

Jak co roku, odbył się dnia 11 marca zjazd członków Stowarzyszenia Dowborczyków „Ku chwale Ojczyzny”. Na uroczystym nabożeństwie, odprawionem w katedrze św. Jana, obecni byli generałowie: Dowbór-Muśnicki, Żeligowski, Konarski, Michaelis, Rządkowski (z ramienia Ministra Spraw Wojsk.), komendant miasta generał Suszyński, szef francuskiej misji wojsk. generał Dupont i w. i. Podczas nabożeństwa dokonano poświęcenia sztandaru oddziału warszawskiego, poczem ks. poseł Wyrębowski wygłosił kazanie, nawiązujące do epopeji bobrujskiej. W południe odbyło się w Resursie Obywatelskiej walne zebranie uczestników zjazdu. Przewodniczył mu gen. Dowbór-Muśnicki, który w krótkim, żołnierskim przemówieniu uczcił poległych towarzyszy broni. W czasie obrad powziął zjazd ważną uchwałę w sprawie unji wszystkich stowarzyszeń o charakterze wojskowym. Zastanawiano się też nad środkami jaknajrychlejszego urzeczywistnienia projektu wzniesienia w Warszawie pomnika ku czci poległych Dowborczyków. Zjazd zakończył się rautem i wspólną wieczerzą.

Myliłby się jednak, kto by sądził, że to są jedyne ważne sprawy, zaprzatające uwagę Warszawy. Są inne, których „Vorfabel” sięga jeszcze epoki karnawału. Oto na balu, urządzonym przez sympatyczne wydawnictwo „Pani”, organizatorzy zainicjowali turniej konkursowy, mający rozstrzygnąć, kto jest w Warszawie najwytworniejszym mężczyzną. Damy głosowały przez przypinanie swym wybrańcom honorowych pomponików. I oto co się okazało? Królem został wybrany znany artysta dramatyczny, p. Jerzy Leszczyński, po nim zaś najwięcej „głosów” otrzymał p. J. M. Bazewicz. Kto zaś jest pan Bazewicz, nie potrzebuję Wam chyba, Szanowni Czytelnicy, mówić! Jest to uczony geograf i mąż w sile wieku, szczerzący się fenomenalnej długości... wąsami. Jeden i drugi powód sprawia, że p. B. jest jedną z najbardziej interesujących postaci Warszawy. Otóż nie dał on za wygraną. Ogłosił w prasie list otwarty z oświadczeniem, że nie p. Leszczyński, ale on, Bazewicz, otrzymał największą ilość pomponików; te jednak częściowo poodpadały w wirach tańców, których nie mógł odmówić rozentuzjasmowanemu Warszawiankom. I to było przyczyną jego niepowodzenia.

Iluminacje frontów, łyskających miliardem wystrzałów,
 Ani jej już nie zgłuszył gwizd szarż i marsz piechurów,
 Ni miauk kul, ni szpazm rannych drgających poszarpanem ciałem,
 Ani zdyszane salwy stu mil tyraljerskich sznurów,
 Ani krzyk mnóstwa matek wypłakujących oczy w niedoli...
 Szła do stóp Bożych kurzawa z potwornych zmagani nad Marną,
 Jęk biczonej Belgji wił się i łkał po niebie,
 — Ale ponad nie wyrósł chmurą ponurą i czarną
 Czad żywcem palonego narodu na nadwiślańskiej glebie.

Przestały pluć baterie śmierć z haubic luf na miasta,
 Lotnicy z radosną wieścią wlecieli z swoich hangarów,
 Że na zwęglonych zgłiszczach paproci kwiat wyrasta,
 Symbol „Swobody - Zgody”, ten kwiat, jak płat sztandaru.

— Parady, defilady gruchnęły po brukach Warszawy,
 Na frontach bataliony trzykrotny okrzyk wzniosły
 I „szary człowiek” Komendant uchwycił szept buławy
 Z krwawego kotła zdarzeń, jak symbol hartu wyrosły.

Rok w rok uderza młotem, czas wije i zdziera wawrzyny,
 W mgłę się zasuwa człowiek — idea trwa w budowie,
 Lecz żywie wciąż w naszych sercach wielki romantyk Czynu,
 Naród go pojął, pokochał i Naczelnikiem zowie.
 I choć się szarpie boleśnie w niechęci bratniej fali,
 Jako, że nikt prorokiem nie będzie między swymi
 Zgłębią myśl jego wieki, co z perspektywy dali
 Spojrzą nań, jak na pioniera, co ziścił sen olbrzymi.